Nro 25.

DZIENNIK MÓD PARYSKICH.

Lwów, 29 listopada 1845. **Rok szósty.**

Wychodzi co druga sobota regularnie; do każdego numeru dołączona jest rycina mód paryskich z dokładnym opisem. Kosztuje w miejscu półrocznie 5 złr. 15 kr.; całorocznie 10 złr. m. k.; na prowincii dolicza się przesyłka pocztowa do cen powyższych półrocznie 48 kr. m. k. Prenumerować można we wszystkich urzędach pocztowych, tudzież w redakcii pod nrem 301.; we Lwowie.

MODY.

Paryż, dnia 15 listopada 1845.

Stroje damskie. Główną modą tego roku jest nosić to, co się komu podoba. Niema jednego koloru któryby niebył noszony, żadnego wzoru któryby był od mody prześladowany; najczęściej widzieć można cienie, kraty, bukiety, pasy tak w wełnianych jak i jedwabnych materiach; słowem: jestto mieszanina niedowierzenia, o czem można się przekonać we wszystkich składach nowości. Jednakże kolor czarny ma zawsze pierwszeństwo nad wszystkiemi innemi; damy umieją oceniać jego zalety, gdyż kolor czarny najwięcej dodaje wdzięku fizyognomii i kibici.

Z pomiędzy strojów jesiennych któreśmy dotąd zauważali, najwięcej zajęły naszą uwagę następujące: paletot z granatowego axamitu, w stanie szeroki, zprzodu zapinany przez całą swą długość, obszyty wokoło szerokim pasamonem; rękawy wschodnie, roztwarte, białym atłasem podszyte. Redyngocik z materii *barpoor* zielonego koloru, wyszyty wkoło stalowemi guzami; drugi redyngocik, z popielatego peplinu, szerokim obszyty pasamonem. Dużo także pokazało się płaszczów damskich, wszystkie prawie krótkie, tak że małoco niżej kolan sięgają; obszywane zwykle frędzlami lub axamitem. Płaszczów futrzanych coraz więcej widzieć można.

W jednym z główniejszych składów strojów damskich widzieliśmy trzy suknie, których opisaniem spodziewamy się iż zrobimy przysługę naszym czytelniczkom.

Pierwsza z tych sukień była z mory jasno-czekuladowego koloru, ubrana z przodu korunkowemi szlarkami, które bardzo szerokie w dole a coraz węższe były u góry, środkiem zaś, między temi szlarkami przyszyty był rząd złotych dużych guzów; stanik gładki, wysoko zachodzący, mocno kończasty, wkoło korunką obszyty, rękawy gładkie z wyłogami, także korunką obszytemi.

Druga suknia była z błękitnego adamaszku, ubrana zprzodu sześcioma rzędami frędzli, poprzecznie układanemi; pierwszy z tych rzędów miał pół łokcia szerokości, ostatni zaś ledwie dwa cale był szeroki; stanik gładki, z pólpeleryną w kształcie berty zaokrąglonej zprzodu, wkoło frędzlą obszytą.

Trzecia suknia była z jedwabnej materii w czarne i pąsowe pasy, ubrana w przodzie axamitem i jedwabnemi guzami, rękawy obszyte dwoma rzędami korunek.

W innem znowu miejscu widzieliśmy suknię z muszlinu indyjskiego, z szerokim obrąbkiem, różową wstążką przewleczonym, z tuniką z różowej włoskiej kitajki, roztwartą po obu bokach, obszytą wkoło pasamonem i fontaziami ze wstążek poprzypinaną. Stanik mocno kończasty, w przodzie otwarty, wstążką zesznurowany.

Kapelusze i kapotki zimowe zdaje się iż zachowają trwale kształt *pamela* z tą tylko różnicą iż niebędą miały wymuszonych dodatków z zeszłego lata.

Stroje męskie. Dają się często spostrzegać paletoty o jednym rzędzie guzików, nieśmiemy jednak zapewnić żeby ten rodzaj był przyjętym powszechnie, gdyż osoby poważniejsze zawsze przenosić będą o dwoch rzędach jak dotąd. Paletotów z szerokiemi pikowanemi wyłogami nie noszą wcale, a brzegi obszywają taśmami leżąco.

Kabany są w wielkiej wziętości, na kolor ich mniej się uważa, kapiszon podszywa się taką samą materią jak i cała suknia, zawsze zaś innego koloru niż wierzch. Niektóre zaś wcale niemają podszewki, a to się zle wydaje.

U fraków daje się stan długi i wązki, wycięcie zaś zprzodu nieznacznie zwęża się, ku końcowi bardzo.

Rycina przedstawia: mantylę axamitną najnowszym krojem z frędzlą i taśmą; mantyla ta jest kroju bardzo owalnego na sposób chustki. Salopę z kaszmiru koloru jasnego, okładaną fałdami z tej samej materii co wierzch. Szlafrok koloru zielonego najnowszym krojem, ubrany frędzlą, rękawy wyłożone na sposób angielski.

Surdut koloru oliwkowego axamitem okładany; frak jasno-granatowy; spodnie popielate. Ubior do polowania.

JAKÓB ELTESTER.

Sprawa kryminalna z roku 1811.

I.

»Ale niemożesz nam pan powiedzieć, kto jest właściwie ten młody człowiek?« zapytała piękna panna Julia, doktora Alfreda.

»O mogę« odpowiedział »nazywa się Karol Wangerlin, i jest synem oberzysty z Ostrawy.«

»Mój boże, co nas obchodzi jego nazwisko« zawołały wszystkie damy razem zgromadzone wokoło stolika z herbatą; »nazwiska jego niechcemy wiedzieć, opowiedz nam tylko jego przypadki panie doktorze, musisz je znać przecie, musisz wiedzieć, dla czego ten młodzieniec tu przyprowadzonym został, kiedy jesteś jego lekarzem.«

»Same panie wiecie« odpowiedział doktor, »że tu w Hali nasz szpital jest wszędzie sławnym, dlaczegoż się dziwicie, że ten biedny pomieszanie cierpiący został tu w kuracią oddany?«

»Niedziwimy się wcale« zawołała panna Julia, »chcemy tylko żebyś nam pan opowiedział, dlaczego dostał pomieszania?«

»Tego sam niewiem« odpowiedział Alfred, »tego nikt niewie, ani nawet ojciec jego. Jednego poranku znaleziono go strętwiałego, rozciągnionego na grobie, w którym dniem przedtym pogrzebano młodą dziewczynę. Był cały zimny i bez zmysłów, miano go za umarłego, ale staraniem lekarzy udało się nakoniec przywrócić go do życia; otworzył oczy, spozierał obłąkanym wzrokiem do koła, potem westchnął tak głęboko i boleśnie, że ojcu swojemu, którego jest jedynakiem, łzy z oczów wycisnął. Ale na wszystkie jego uprzejme i troskliwe pytania nieodpowiedział ani słowa, bił się tylko ręką w piersi, wzdychał i jęczał głośno, niewiadomo, czy z bolu ciała, czy z udręczenia umysłu, potem wpadł w tak dziką wściekłość, że go zaledwie sześciu ludzi, utrzymać zdołało; chciał koniecznie oknem wyskoczyć, krzyczał i bił tych którzy mu przeszkadzali. Nadaremnie używano wszystkich środków łagodności, te napady odnawiały się codziennie po kilka razy; nakoniec stary stroskany ojciec zmuszonym był przywieść go do Hali do naszego szpitalu; to jest wszystko, co mi o nim wiadomo.«

»To bardzo mało« zawołała panna Julia szydersko, »ale co pan myślisz o przyczynie jego stanu?«

»Myślę« odpowiedział doktor, »że jakaś nadzwyczajna boleść którą on ukrywać pragnie, przywiodła go do tego opłakanego stanu; głębokie cierpienie duszy, umysł jego pomieszało.«

»Wszak pan powiedziałeś, że go znaleziono na grobie młodej dziewczyny.«

»Prawda, na grobie młodej dziewczyny, której mordercę za kilka dni tracić mają.«

»Oh, pewnie kochał tę młodą dziewczynę, a przestrach z jej raptownej śmierci rozum mu odebrał.«

»I ja tak myślałem« odpowiedział lekarz »i wypytywałem się względem tego w Ostrawie, ale nikt niewiedział, żeby z tą dziewczyną w jakich zostawał stosunkach, owszem powiedziano mi, że ojciec jego, oberzysta, chciał się z tą dziewczyną ożenić.«

»Rzecz dziwna!« powiedziała panna Julia zamyślając się. »Chciałabym wiedzieć związek tej historii, bo ten wybladły młodzieniec obchodzi mnie niezmiernie, niewymowny wyraz smutku i udręczenia maluje się na jego twarzy, w jego spojrzeniu, a gdy się uśmiecha, sam ten uśmiech serca rozdziera.«

»Wczoraj spotkałyśmy go na spacerze« opowiadała inna dama, »stał oparty o drzewo, i spoglądał z założonemi na krzyż rękami na przeciągające chmury; podobnie tym zachmurzała się wybladła twarz jego, a usta wykrzywione wyrażały boleść, potem przeraźliwym głosem żałości wykrzyknął: »oboje w jednym grobie!«

»A potem« przerwał doktor, »ukląkł zapewne i płakał głośno. O to są jego codzienne, cogodzinne cierpienia. Szaleństwo istotne zupełnie go opuściło, i całą jego chorobą, są teraz te napady rospaczy i smutku, ale te napady tak są silne, że już zdrowie jego znacznie ucierpiało. Dopóki miał pomieszanie zmysłów, stan jego fizyczny, jak to zwykle bywa, niezmieniał się bynajmniej, ale od czasu jak słabość umysłu usuniętą została, słabieje bardziej jego ciało.«

»Więc on w istocie jest zupełnie wyleczonym?« zapytała Julia.

»Rozum odzyskał znowu« odpowiedział doktor, »ale z nim razem, jak się zdaje i wiedzę wielkiej tajemnej boleści. Ale patrzcie panie, oto on sam nadchodzi.«

W istocie, w tej chwili wszedł młody człowiek do pokoju, i jakby czarodziejską siłą wszystkich dam spojrzenia zciągnął na siebie, niezdawał się tego uważać, tylko z spuszczoną głową, smutkiem znękany przystąpił do doktora Alfreda.

»Nie gniewaj się kochany panie doktorze« rzekł drżącym głosem z głęboką żałością i bolem, »że pana tu szukać przychodzę, służący jego powiedział mi, że pana tu zastanę.«

»I cóż waćpana do mnie sprowadza, kochany Karolu?« zapytał doktor z wzrokiem pełnym udziału podając mu rękę.

»Przychodzę pożegnać pana!« odpowiedział tenże po chwili.

»Pożegnać? chcesz nas waćpan już dziś opuścić?« zapytał Alfred. »Sądziłem że jeszcze z tydzień u nas zabawisz... dopóki...«

»Dopóki Jakób Eltester niebędzie straconym?« zapytał chory z mdłym uśmiechem. »Prawda, z początku chciałem tak uczynić, ale teraz inaczej się namyśliłem. Będę musiał pomagać ojcu w jego zatrudnieniu, bo śmierć człowieka na rusztowaniu pociąga ciekawych z bliska i z daleka, a tak będzie wiele do roboty w oberzy mojego ojca.«

»Słusznie waćpan mówisz« odpowiedział lekarz, »ale czujeszże się waćpan dosyć przy siłach, abyś się mógł zająć zatrudnieniem i pracą?«

»Oh dosyć« powiedział Karol z właściwym bolesnym uśmiechem. »Czuję się dość silnym do tego, co mi czynić pozostaje; a zatem, bądź mi pan zdrów panie doktorze« dodał, podając mu rękę. »Dziękuję panu, za wszystkie starania i cierpliwość, jaką miałeś zemną. Oby ci się zawsze dobrze powodziło, niech cię niebo broni od zgryzot kochany panie, i zachowa ci to wszystko, co kochasz.«

Westchnął raz jeszcze głęboko, potem obróciwszy się, wyszedł z spuszczoną głową z pokoju.

Damy mocno wzruszone, zaledwie oddychając, przysłuchiwały się tej scenie, i teraz jeszcze, gdy nieszczęśliwy już odszedł, siedziały długi czas w milczeniu i cichości.

»A ja zawsze sądzę« odezwała się nakoniec Julia, »że on kochał tę zamordowaną dziewczynę.« Słowa te były hasłem do żywej rozmowy o powodach słabości Karola Wangerlin ale Alfred pamiętny ostatnich słów jego siedział zamyślony; nakoniec wstał z miejsca, i zbliżył się do Julii, która oddalona od innych stanęła w framudze przy oknie.

»Julio« przemówił do niej zcicha, »ten biedny zaraził mnie smutkiem i trwogą, zdaje się, jakgdyby przeczucie wielkiej zgryzoty zajęło moję duszę. Muszę mieć pewność, muszę nakoniec przemówić. Wiesz pani, że cię kocham; a pani czyż mnie odtrącisz od siebie? Czy oddasz mi twoją rękę, aby przy moim boku żyć ze mną wspólnie?«

Ona odpowiedziała kilka niezrozumianych słów, on przybliżył się do niej, ich ręce spotkały się, a tak i słowa jej musiał zrozumieć, gdyż po chwili przedstawił zdziwionemu towarzystwu piękną Julię, jako swoją narzeczonę, wszyscy żartowali, śmieli się, i cieszyli, a o nieszczęśliwym Wangerlin nikt ani pomyślał. Takie to życie! Szczęśliwsi krótką mają pamięć na cierpienia nieszczęśliwych, a taż sama godzina, która jednym radość i wesołość sprawia, niesie dla drugich cierpienia i niewysłowioną boleść w swojem łonie.

II.

W czasie gdy oni śmieli się i żartowali, Karol Wangerlin szedł prędkim i śmiałym krokiem ku Ostrawie, miasteczku o kilka mil od Hali odległem, w którem bogaty oberzysta, ojciec jego mieszkał. Zdawało się, że jakaś niespokojność przyspieszała jego kroki, jak gdyby się lękał że nieprzybędzie na czas. Często dobywał zegarka, i trwożnym wzrokiem spoglądał na posuwający się zwolna godzinnik, a długie cienia drzew przy zachodzącem słońcu strachem go przerażały, czasami zamruczał kilka słów niezrozumiałych, często wykrzyk udręczenia wydobywał się z piersi jego, poczem raptownie łzy puszczały mu się z oczów. Tak szedł coraz dalej pomiędzy kwitnącem na polach zbożem, naostatek spiesznym krokiem wybiegł na dość wysoki wzgórek, z którego wierzchołka obaczył przed sobą w dolinie rodzinne miasteczko Ostrawę, leżące śród przyjemnej i roskosznej okolicy na wzgórkach do koła gęstemi zaroślami otoczonych; w pośrodku na najwyższym wzgórku wznosił się pyszny zamek hrabiów F. dokoła głębokiemi fosami otoczony, starożytne jego wieże i strażnice dziwnie odbijały, od pokornych małych domów stojących wokoło niego; jeden tylko z nich wyszczególniał się nad inne: byłto dom bogatego oberzysty, ale wzrok Karola nie na dom ojca był obróconym; oczy jego z upragnieniem szukały cmentarza, i upatrywały między grobami krzyża z białego marmuru, do niego

pozdrawiając wyciągnął swoje ramioua Karol szeptaiąc zcicha.

»Jutro! jutro!« potem padł na kolana i gorżko płakał, ale nie w długim czasie, zerwał się, osuszył łzy, i zbiegł z góry, przybył nareszcie do Ostrawy, i przez małe wązkie ulice spieszył coraz dalej; to miejsce dawniej samotne, było ludne i nadzwyczaj ożywione; z różnych stron schodzili się ludzie gromadami, ani na daleką podróż, ani na czas stracony uważając, przybywali z różnych okolic, aby jednego z braci swoich widzieć umierającego pod mieczem. Bogaci w paradnych jechali powozach, a przez śklanne okna widać było niejedną twarz damy czułych i delikatnych nerwów, która się jednak nieobawiała być świadkiem tracenia człowieka. W ulicach natłok i ścisk, jakby na jaką wesołą uroczystość, tu i owdzie namioty były porozbijane, a wystrojone wieśniaczki, roznosiły różne żywności na sprzedaż. Karol Wangerlin niezważał na mnóstwo ludzi, przez których się przeciskał, patrzył tylko przed siebie w jeden punkt czarny, do którego spieszył, tym punktem było śród rynku naprzeciw zamku wzniesione groźne rusztowanie. Ujrzawszy go Karol, dzika radość w oczach jego zabłysła. Spuszczoną dotąd głowę wzniósł w górę, i tak szedł ku domowi ojca swojego. W drzwiach tego domu stał wysoki starzec, wiatr igrał z jego siwym włosem, a smutny i boleśny wzrok jego wlepiony był w rusztowanie, i niespostrzegł syna, który stanąwszy przed nim, odezwał się zcicha »ojcze!«

Stary wzdrygnął się przestraszony, i zawołał z dzikością: »ojcze? któż mnie ojcem nazywa?«

»Ja twój syn Karol!« odpowiedział tenże.

»Ah ty?« powiedział starzec i podał mu rękę, którą Karol do ust przycisnął i łzami oblał!

»I ty przyszedłeś widzieć śmierć jego?« zapytał stary, »chciałeś być także na tym festynie? Ah! będzie to wspaniała uroczystość« dodał z goryczą. »Już wszystkie pokoje mojego domu są zapełnione gośćmi, którzy się wszyscy na to widowisko zjechali... O co to za piękny widok, kiedy krew jego zbryzga, to czarne sukno, a wypłynąwszy strumieniam, przestanie ożywiać jego biedne cierpiące serce! Oh biedna opuszczona sieroto! siedzisz samotny w twojem więzieniu, walcząc z śmiertelną trwogą, a niemasz nikogo, ktoby cię pocieszył, i ostatnie w tem życiu dał ci błogosławieństwo!«

Tu zamilkł stary, łzy mu się z oczów puściły, a on zakrył twarz rękami.

»Ojcze« rzekł Karol po chwili. »I ty go żałujesz?«

»Kto ja?« zawołał przestraszony starzec; »nie, ja go nieżałuję, on jest mordercą, i niezasłużył na litość; bardzo dobrze uczyniłeś mój synu, żeś przyszedł patrzeć na śmierć jego.«

»Nie« zawołał Karol z szalonym uśmiechem »niebędę go widział umierającego... Ale muszę go jeszcze przed śmiercią obaczyć; mam mu dać jeszcze zlecenie na tamten świat, i powierzyć mu jeszcze jedną tajemnicę.«

»I ty także?« zapytał starzec boleśnie zdziwiony »dobrze więc« rzekł po chwili, »pójdziemy obydwa do niego. I ja mam mu odkryć tajemnicę przed śmiercią.« Uchwycił się za ramię swojego syna, i wspierając się na nim szli obydwa przez rynek ku zamkowi, w którego dolnych kazamatach było więzienie osądzonego Jakóba Eltester.

III.

Jakób Eltester był młodzieniec dwudziestoletni, i do chwili owego okropnego morderstwa niebyło nikogo w całej Ostrawie, któryby go niekochał, miał dobre serce, był łagodnym, pracowitym i wiernym. Często ojcowie wskazywali go za przykład swoim synom, napominając ich ażeby się starali Jakóba w cnotach i zachowaniu naśladawać. Biedny Jakób niemiał ojca, ubóstwo nazywał matką, a nieszczęście ojcem swoim, to byli jego jedyni krewni. Czasami po skończonej dziennej pracy, udawał się Jakób wieczorem nad jezioro, do koła lasem jodłowym otoczone, usiadł nad brzegiem jego, i spozierał długo z utęsknieniem w głębią wód jego, a tam czasami zdawało mu się jak gdyby się fale jego rozstępywały, a niewiasta z długiemi włosami wypłynęła na powierzchnią wody, z wybladłą twarzą witając go, i wzywając do siebie wyschłą ręką, a Jakób odwzajemnił jej powitanie, poszepnąwszy zcicha: »Zasypiaj łagodnie w twoim zimnym grobie« potem zdawało mu się słyszeć długi przenikający wykrzyk boleści, zjawisko skryło się w wodę, a fale zaszumiały znowu boleśnie na powierzchni. Tak jednej niedzieli w wieczór siedział Jakób nad brzegiem czarnego jeziora, z pobliskiej łąki dolatywały go wesołe okrzyki ochoczej młodzieży, bo na owej łące zgromadzili się chłopcy i dziewczęta na wesołe niedzielne tańce. Jakób uciekł z pomiędzy bawiących się, bo ich wesołość była dla niego nieznośną, i smutny udał się nad brzeg jeziora. Siedział tam wsparty na rękach myśląc o swojem sieroctwie, że nikogo niema na ziemi, do kogoby przynależał, gdy w tem usłyszał za sobą lekkie stąpania, a młoda dziewica z za-

rumienionem licem, zadyszana wystąpiła z krzaków, przybyła spiesznie wyszukać Jakóba, i gdy zbliżywszy się wymówiła jego imię, przestraszył się Jakób, i zbladł jeszcze bardziej. »Ty tutaj Mario?« zapytał »dlaczegoż niezostałaś tam, gdzie się wesoło bawią? czegoż tu chcesz nad tem smutnem jeziorem?«

»Przyszłam ciebie wyszukać Jakóbie« powiedziała dziewczyna po chwili »dlaczego uciekasz z naszego koła, dlaczego szukasz samotności, i smucisz się, kiedybyś mógł wesoło bawić się między nami. To musisz mi powiedzieć Jakóbie, wszakże wzrośliśmy razem z sobą w jednej chacie, od dzieciństwa byliśmy przyjaciołmi, powinienbyś mi zaufać Jakóbie, i powiedzieć, dlaczego zawsze wzdychasz i szukasz samotności?«

»Tu« odpowiedział Jakób, i wskazał na środek jeziora, »tu, aż do tego miejsca popłynęła matka moja w małem czółnie, odwiązawszy je od brzegu, i tu wskoczyła w wodę, nazajutrz gdy mnie na świat wydała. Wiesz przecie o tem, i pytasz, dlaczego tu siedzę? Tu pod wodą zasypia matka moja, a ja siedzę nad jej grobem, i myślę, że tam musi być spokojnie i zimno, i pragnę także spokojnie usnąć przy mojej matce...«

»To smutne myśli Jakóbie« powiedziała dziewczyna, a jej oczy napełniły się łzami. »Dlaczegoż pragniesz śmierci, będąc tak młodym i mogąc jeszcze wiele szczęścia i roskoszy dożyć?«

»Ah Mario!« zawołał Jakób wzruszony, »dlaczegoż szydzisz ze mnie, wiedząc że dla mnie niema szczęścia ani roskoszy. Jestem biednym i samotnym, ubóstwo uciska mnie, znosić muszę niedostatek i nędzę.«

»Ale ty jesteś pilnym« rzekła Maria, »praca odpędza ubóstwo.«

»Cóż mi z tego« powiedział Jakób, »że pracuję od świtu do poźnej nocy, że ręce moje pełne narostków, że krzyże moje zgarbione pod ciężarem nadzwyczajnego wysilenia, kiedy ta praca zaledwie na wyżywienie wystarczy, i nieprzynosi mi żadnej radości bo pracuję tylko dla siebie. Gdybym mógł dla kogo pracować, gdybym miał istotę kochającą mnie, o którąbym się starać musiał, wtedy pracowałbym z roskoszą. Ale na cóż się przyda myśleć o tem, »przydał smutny, »są to tylko marzenia, które się nigdy niespełnią... a dziewczyna którą kocham, nigdy się nieodważy podzielać ze mną moje ubóstwo!«

Zamilkł i patrzył z boleścią przed siebie; Maria bawiła się pomieszana wstążkami swojego fartuszka, jej lica rumieniły się i bladły raptownie, a mocny oddech wznosił jej piersi.

»Jakóbie« rzekła cichym głosem, »chcesz dla mnie pracować?«

Spojrzał na nią pomieszany, niedowierzając, a ona powtórzyła z słodkim uśmiechem swoje zapytanie.

Ciąg dalszy nastąpi.

Czem nie marzyć?

Przy malinie, przy dziewczynie
Gdzie czas mile, błogo płynie,
O pradziadach, o przeszłości,
O powiędłem, o nicości;
Długie, nudne chwile gwarzyć,
A już nigdy nic nie marzyć?
Ani chwilki choć w zapale,
Niezamarzyć w ideale?...

Powiedz siostro, czem nie marzyć
I z tą myślą się kojarzyć,
Która pędzi w świat?
A w świat błogi, w świat złudzenia,
W świat niebieski, w świat marzenia,
A myśl życia kwiat!

Zacoż więdnąć z złotym kwiatem
Z ziemskim zawsze starzeć światem
Czemuż z światem starym starzeć
Czem nie dumać, czem nie marzyć,
Gdy niestarzeje myśl.
Niema końców świat złudzenia
Niema krańców świat marzenia
Ani kresu myśl.

Czemuż sępieć na tym świecie
Gdzie nas brzemię kresów gniecie,
Gdzie gwar wieczny wre?
Kiedy wolno nam pogonić
I choć chwilkę marząc ztrwonić
Na niebieskiem tle.

Czemuż wiecznie łzawem okiem
Postępować żółwim krokiem
Kiedy wolno skoczyć raz?...
Chodźcie do mnie marzeń roje,
Dumy moje, myśli moje,
Kwiatki moje, lubię was.

Póki w waszej jestem sile,
Póki wy na ziemskiej bryle
Wasze roztaczacie mgły,
To i lice się zrumieni
To i oko się zpromieni
To i nieznam łzy.

To i w duszy czasem dnieje
To i przyszłość się rozśmieje
I niewidzę chmur;
Jakieś błogie mi marzenia
Grają pieśni odrodzenia
A aniołów wtórzy chór.

Zygmunt Kaczkowski.

Uwagi nad moralnemi chorobami.

przez

ZYGMUNTA KACZKOWSKIEGO.

II.

Parafianizm.

Dokończenie.

Pani Eugenia młoda wdowa po bezdzietnym mężu, z małą w skutek zasług jej męża wyznaczoną gażą, widziała że pani hrabina miała na pierwszym balu suknię atłasową, oddawano hołd hrabinie, a może i sukni... podobało się to pani Eugenii, i kupiła na suknię atłasu; ale pomimo to niepołożono ją z tamtą na równi... itd. itd.

Chorego na parafianizm poznasz zawsze i wszędzie; widziałeś że szory nieprzystawały chudym szlachcica koniom, każdy się śmiał że widział szlachciankę o jednej wiosce podczas karnawału w stolicy i hulającą wespół z zamożnemi, a nawet jak słyszę, na jakimś wieczorze szeptnął ktoś jej z boku: nie odjedzie, póki nie zatęskni za kurami i gęsiami, ale to musi być fikcia, bo gdzieżby tam znowu na wielkim świecie podobne ktoś gadał impertynencie... Podszywającego się pod imię ukraińskiego poety poznano, i jak wronę z piór pawich, ze sławy odarto, a pani Eugenia pomimo atłasowej sukni niewyrównała hrabinie....

Ludzie parafianizmem rażeni, jakkolwiek już sami przezsię są słabi na duszy... targani zaraźliwą chorobą ustawicznie nadwątlają siły moralne, i słabnieją coraz bardziej na umyśle.

I tak człowiek który, naśladując drugiego, chcąc być takim jak tamten, niedopiął swego celu... niepoznaje się nigdy na prawdziwej przyczynie, przekonać sią nieda i trwa ciągle w swoim błędzie... w tej myśli wpada między całe stada parafianów, naśladuje dalej, nabija sobie głowę cudzemi przymiotami i maniery, marzy że już jest tym albo tamtym, któremu zrównać usiłuje, a w końcu tak się powikła: że sam niewie czy on jest ten sam, czy kto inny.

Każdy parafianin niezna samego siebie, bo naśladując cudze przymioty, a raczej mając chęć dopiero naśladowania, nie wie kim i jakim jest, ażali będzie w stanie to lub owo naśladować... Wszakżeż tak często widzimy ich niedołężności w ich naśladownictwie.

Powtóre nie mając myśli swoich, których się zrzeka, dając przystęp cudzym do swojej obszernej ale najczęściej pustej mozgownicy... niema własnej woli; albowiem czyniąc dziś to, czy może zaręczyć, ażali jutro, widząc co innego, nie porzuci dzisiejszej czynności?... Więc nie kieruje się własną wolą. Ktoż nim włada?... Ażali nie czarny rogaty mieszkaniec lochów podziemnych, który tak często na pokuszenie nasze, zwodnicze przedsiębierze wędrówki po ziemi naszej?...

Przyczyny parafianizmu są wedle jego różnych gałęzi bardzo różne. Przedewszystkiem: próżność i duma, brak zatrudnienia, owa nieoceniona fałszywie zrozumiana ambicia, którą tak z młodu herbowni swoim wpajają dzieciom, słabość duszy, wygórowana exaltacia... a może co więcej, są tak często powodem tej choroby, jak przeziębienie zapalenia, birbantka suchot, zamoczenie nóg kataru itd.

O skutkach parafianizmu snadnie zamilczeć mogę, albowiem, pomijając to, że na wyliczenie ich potrzeba skóry wołowej, a nie dziennika mód... także każdy może łatwo sam ich dojść... zalecam więc drogę doświadczania, rozumie się na drugich, nie na sobie; a dla łatwiejszego osiągnienia celu, dzielę parafianów na dwa główne rodzaje:

a) Na parafianów, naśladujących ludzi oryginalnych lub oryginały. Spodziewam się potraficie rozróżnić ludzi oryginalnych od oryginałów. Ale takich parafianów bardzo mała jest liczba bowiem dziś ludzi oryginalnych jeszcze mało, a oryginałów już mało.

b) Na parafianów, naśladujących już parafianów, których liczba jak piasku w morzu... jak gwiazd na niebie...

W końcu wspomnę że porównywając tak często u siebie ludzi ze zwierzętami i na powrót, badając zwierzęce choroby... znalazłem, że wszystkie małpy są parafianami... prócz tego i inne domowe zwierzęta, a kto wie może i leśne, zarażają się często parafianizmem. Łatwe leki u zwierząt... ale trudno ich doświadczać na ludziach.

Minionego lata przyjechał do mnie mój sąsiad, zawołany jeździec na koniu, na szkolnie wyjeżdżonym wierzchowcu. Gdy odjeżdżał chciałem go odprowadzić do kopców granicznych... Dano mi konia zupełnie surowego, który prócz tego był pozbawiony wzroku na prawe oko. Jechałem po prawej stronie mego gościa, który jął spinać swego konia do lansad i kurbetów. Mój koń, który jak rzekłem nigdy niesiadany ledwie że stępo szedł równo... widząc że tamten wyniosł głowę wyżej i spinał się, począł go jota w jotę naśladować. Byłem pod przypadkiem złamania karku... bo koń niepatrząc przed siebie, tylko na tamtego konia, łatwo mógł się związać i upaść. Wpadłem na tę myśl, przejechać na lewą stronę, tak ażeby to parafianizmem rażone źwierze tamtego niewidziało konia... Skutek niezawodny, koń szedł jak dziecko... Trudnoż wprawdzie wszystkim parafianom

powybijać oczy... bo oprócz szkody, możebyto nie wiele pomogło. Wszakżeż mają słuch, będą to naśladować co słuchem ułowią; ale wnoszę ztąd że wpływ rozumu musi być tej chorobie hamulcem.

O sposobach leczenia lub zapobiegania tej chorobie trudno mi przychodzi wspominać, tyle powiem, że: jeżeli chory nie wzmocni działanie rozumu i niewywyższy je na popędy serca, t. j. nie ograniczy je wpływem zdrowego rozumu... niemasz prawie dla niego ratunku. Uchylanie sposobności do wybuchania tej choroby, jak u onego konia, ma naturalnie swoje dobre skutki... ale widzimy z przyczyn że jest nie do wykonywania.

Dokument, na oślej skórze pisany, niewymienia środków do zapobieżenia jej grasowaniu, jednakowoż domyślam się, że satyryczne wyśmiewanie, wszystkich nowych z za granicy przywożonych, miękkie serca łechcących, nagannych zwyczajów i manier, jest lekiem, któren wedle nieoszacowanego autora ma być skutecznym; zaleca także bezwzględne karcenie takiego postępowania każdemu parafianowi w oczy, przy świadkach; można mu dowodzić: że jest maszyną, przez moc czartowską i ludzkie wymysły w bieg puszczoną, że jest typem nie człowiekiem, podległym sługą cudzych zachceń i niejako rozkazów. Parafianin w takim wypadku wyzwie na pałasze (bo tak zrobił X. Y. Z. a zresztą ambicia, a punkt honoru!) ale wkrótce będzie szukał sposobów pojednania się przy szampanie. Niektóry w takim wypadku rozmyśli i namyśli się, będzie się strzegł naśladownictwa jako przyczyny nieprzyjemnych zdarzeń... i zaniecha.

Chociaż nie wątpię, że te wszystkie inne środki, prócz wpływu rozumu, tyle pomogą, ile nowa nieżywemu koniowi przybita podkowa, to na parafianach nigdy nie brakło ani niebraknie... przecież moich badań niezastanowię i przyrzekam kiedyś poźniej o skuteczniejszych donieść środkach, których teraz na moim woźnicy doświadczać zamyślam. Wystawcie sobie, woźnica parafianin! Ubrdał sobie, włosy koniecznie fryzować i bokiem wozić na koźle, pomimo wszelkiej niewygody i bolu krzyżów przy dłuższej podróży, wszystko to cierpi biedak... dlaczego? Bo tak wszyscy czynią po miastach furmani....

Pisałem nad Sanem, 1 września 1845.

Nowości literackie.

W Bochni wyszły świeżo z drukarni Wawrzyńca Pisza »Niepowieści i Nierozprawy przez Leszka Dunina Borkowskiego.« Dochód z tej xiążki przeznaczony jest na wsparcie zubożałych przez wylewy wód włościan. Dostać ją można po wszystkich krajowych xięgarniach; a oprócz tego u różnych osób prywatnych którzy się sprzedażą tej xiążki ze względu na jej cel, dobrowolnie zająć raczyli.

W tejże samej drukarni Wawrzyńca Pisza w Bochni wyszedł niedawno poemacik Jana Podoleckiego pod napisem: »Władysław Warneńczyk« w trzech obrazach, na obchód czwartej stuletniej rocznicy śmierci jego pod Warną w dniu 11 listopada 1444.

Adam Gorczyński, który w tym roku odbył podróż do Prus i Saxonii, napisał nowy dramat wierszem pod tytułem »Wanda« i ten jak słyszeliśmy ma być przedstawiony na teatrze krakowskim.

Nakładem Jana Milikowskiego a drukiem Sollingera w Wiedniu wyszła: Rozmaitości dla ludu wiejskiego zebranych przez Julię Goczałkowską, część czwarta i ostatnia. Dziełko to zaleca się trafnym wyborem przedmiotów, prostotą opowiadania i czystością języka, i jest jedyną w swoim rodzaju xiążką której niemożna dość zalecić rozszerzającym się coraz więcej w naszym kraju szkółkom wiejskim.

Następujące nowe dzieła których większa część jest już do nabycia po tutejszych xięgarniach, wyszły po różnych stronach Polski lub też w krajach sąsiednich.

I. W Warszawie:

Historia narodu i państwa Rzymskiego podług źródeł i nowszych badań, napisana przez Jana Szwajnica, profesora kursów prawnych i pedagogicznych. Warszawa w drukarni Stanisława Strąbskiego 1845. Dwa tomy (drugi jeszcze niewyszedł).

Monety dawnej Polski jako też prowincij i miast do niej niegdyś należących, z trzech ostatnich wieków zebrane, uporządkowane i z przytoczeniem źródeł historycznych opisane przez Ignacego Zagórskiego, z 60 na kamieniu rytemi tablicami, wydane przez barona Rastawieckiego w Warszawie, przy ulicy Rymarskiej 1845.

Chłopiec z pod Skalmierza przez Marcellego Skotnickiego. Warszawa, nakładem Sennewalda xięgarza 1845.

»Filozofia serca« przez Józefa Żochowskiego przypisana pani Ninie Łuszczewskiej.

»Ramoty i Ramotki Au. Wilkońskiego« tom III i IV. drukuje się u J. Kaczanowskiego.

»O znaczeniu Prus dawnych« rosprawa Dominika Szulca drukowana częściami w Bibliotece warszawskiej, wychodzi osobno wraz z mappą wykazującą same nazwiska polskie miast, wsi i grodów aż do 15 wieku w owej krainie używane.

Dla miłośników muzyki narodowej wyszły w Warszawie trzy zeszyty Kujawiaków skomponowanych na fortepian przez Oskara Kolberg'a.

II. W Petersburgu.

Szlachcic Zawalnia, czyli Białoruś w fantastycznych opowiadaniach przez Jana Barszczewskiego, poprzedzone krytycznym rzutem oka na literaturę białoruską przez Romualda Podbereskiego. Z ryciną przedstawiającą główne sceny opowiadań. Petersburg 1844—1845. Trzy tomiki.

Tamże wyszły: »Miłość u Surgunta« opowiadanie humorystyczne, i »Życie skowronka« przyrodobaśń Ludwika Podbereskiego.

»Życie motylkowe« przez pannę Różę Podbereską z widokiem Druskienik i wiejskiego domku na Litwie.

Wkrótce mają opuścić prasę drukarską »Podróż po Finlandii w roku 1841 odbyta przez Romualda Podbereskiego.«

»Przygody człowieka pozbawionego cienia« przez tegoż, i

»Machmudek« powieść przez Władysława Strzelnickiego.

III. W Poznaniu.

Gabinet medali polskich Edwarda Raczyńskiego wydanie drugie; pierwsze wyczerpane już zupełnie.

Rękopisma nowe i nieznane dotąd Jędrzeja Kitowicza.

Życie Joanny d'Ark przełożone z niemieckiego Goerres'a z dodatkami historycznemi z pisarzy francuskich.

Wykaz wszystkich miast wsiów i folwarków w obwodzie regencii poznańskiej z krótkim geograficznym i statystycznym obrazem.

IV. W Krakowie.

O przesądach lekarskich ludu naszego skreślił Michał Zieleniewski w celu otrzymaniu stopnia doktora medycyny w uniwersytecie jagielońskim.

Dokładne opisanie zakładu wodnego w Greffenbergu i metody leczenia Prysnica; tłumaczenie z niemieckiego, wydanie trzecie.

Morisoniana czyli dokładny poradnik na wszystkie prawie choroby, z angielskiego. Wydanie czwarte.

V. W Lipsku:

Pierścionek Babuni czyli bieg życia kobiety w pięciu oddziałach przez autorkę słów kilku do matek polskich. Dwa tomy; wydanie J. N. Bobrowicza 1845.

Powieści narodowe Elżbiety z hr. Krasińskich Jaraczewskiej, dwa tomy.

»Pod włoskiem niebem« fantazia J. I. Kraszewskiego. Wydanie J. N. Bobrowicza 1845.

W Królewcu u Borntraegera wyszedł świeżo z druku: Przyjaciel dzieci polski. Xiążka do czytania dla szkół początkowych katolickich przez niektórych katolickich kapłanów wypracowana. Tłumaczenie z niemieckiego.

Biblioteka warszawska na miesiąc listopad zawiera następujące przedmioty:

O podskarbich wielkich ich obowiązkach i podwładnych aż do roku 1764 przez Konrada Larisch.

Zbrodniarz przez stracony honor; powieść z Fryderyka Szyllera tłumaczona przez J. B. Dziekońskiego.

O potrzebie chemicznego badania materiałów surowych, mianowicie gruntów przez S. Zdzitowieckiego.

Pieczęć majestatyczna i dyplomat Przemysława II. króla polskiego i xięcia pomorskiego z r. 1295 przez Ig. Zagórskiego.

Świętości, poezia przez A. C. (bardzo ładna).

Rzut oka na wystawę płodów przemysłu krajowego 1845 przez Felixa Miaskowskiego.

O świętym Wicie i Światowicie, studia historyczne przez Jana Kantego Mętlewicza.

Kronika literacka. Rozmaitości. Kronika zagraniczna. Kronika Bibliograficzna itd.

Jakkolwiek pismo to należy do najlepszych a pod względem porządnego, regularnego wydawania ma przed wszystkiemi pierwszeństwo, widać w niem jednakże za często niedostatek artykułów z wyższą myślą i rozleglejszą nauką wypracowanych. Do takich należy i zeszyt niniejszy: W licznych i pięknie drukowanych arkuszach ledwie znajdziesz kilkanaście ćwiartek bądź przedmiotem bądź wykładem swoim więcej zajmujących; reszta służy tylko do powiększenia materialnego xiążki. W oddziale rozmaitości daje wiadomość p. Tymoteusz Lipiński o miasteczku Nowa Jerozolima niedaleko Warszawy od którego otrzymały nazwę rogatki jerozolimskie, gdzie między innemi powiada: »Nieposiadając dotąd krytycznie i na większą skalę obrobionych dziejów Warsza i Ewy grodu wyglądamy takowej pracy z upragnieniem, zwłaszcza gdy Kraków. Lwów, Poznań i Wilno znalazły już swoich historiografów, itd.

Ktożby sie spodziewał że spółwydawca »Opisu Polski starożytnej« który jak sam niżej cokolwiek powiada: nielubi czynić żadnych naciąganych domysłów historycznych; użyje tak płasko tak niedorzecznie wymyślonej banialuki, jako kwiatka oratorskiego. Ledwieby komu wpadło do głowy że tu o Warszawie jest mowa. Ma on w tej mierze jednego tylko, ale godnego spółzawodnika, który nam niedawno w artykule historycznym wywodził początek miasta Lublina ztąd: że jakiś xiąże łowiąc ryby, założył się był iż to będzie szczupak lub lin.

Mieszkańcy lubelskiego może gdzie znajdą Szczupakowice dla sprawdzenia tak szacownej tradycii.

Redaktor TOMASZ KULCZYCKI. DRUKIEM PIOTRA PILLERA.